

Atonalizm teatralny

AUTOR: HENRYK MAZURKIEWICZ

***Raj Eskimosów* ma „formę aberracyjną”.** Nieustannie rozmywa i kwestionuje różnego rodzaju granice i podziały. Tragizm i patos sąsiadują tu z chwytami rodem z komedii slapstickowej, a załączki logiki, mające porządkować zniekształcone i wyolbrzymione uniwersum sceniczne, są raz za razem wyśmiewane i porzucane.

■ W zachęcającym do obejrzenia spektaklu nagraniu Jan Peszek – podgryzając ze smakiem jabłko – zaprasza nas na transmisję wykładu niejakiego profesora Rajmunda Kanarka. Charakteryzuje go jako postać nietuzinkową, o wielu różnych talentach: kompozytor, poeta, filozof. Jest też, dodaje po chwili, „wagnerystą i wybitnym znawcą atonalizmu... tak wybitnym, że nie wiadomo właściwie, kiedy profesor się kończy, a zaczyna się atonalizm”. To ostatnie spostrzeżenie wydaje się być szczególnie trafne. Podsumowuje poniekąd jedną z głównych cech uprawianego przez Bogusława Schaeffera teatru. Teatru, w którym autor wyjątkowo sprawnie łączy talenty kompozytora i dramatopisarza. Stosując na przemian prawa literatury i zasady tworzenia dzieła mu-

zycznego, nie tyle wymyśla i konstruuje, co komponuje właśnie. *Audycja III*, czyli *Raj Eskimosów* jest jaskrawym tego dowodem.

„Rzecz polega na tym, że mimo iż temat się zmienia – nie zmienia się rysunek całości” – napisze autor w przedmowie do późniejszej swej sztuki *Kaczo*. W podtytule nazwie ją „metawariacjami” i „collage’em teatralnym”, które to określenia pasują również i do przedstawienia z Teatru Szaniawskiego w Wałbrzychu. Oglądanie go przypomina układanie puzzli bez finałowego obrazka przed oczyma (zaczynasz nabierać podejrzeń, że ktoś – przypadkiem albo dla hecy – wymieszał kilka różnych zestawów). Albo też uczestnictwo w szalonym quizie, w trakcie którego dowiadujemy się m.in., ile ważył mózg Turgieniewa, dlaczego

Wagner był głupi, jak często są burze w Kamerunie i który z prezydentów wygłosił w 1931 roku oficjalne przemówienie po łacinie. W ten właśnie sposób spektakl, niczym bohater Charliego Chaplina z *Dzisiejszych czasów*, ślizga się na rolkach absurdalnie i niebezpiecznie blisko krawędzi oddzielającej go od semantycznej katastrofy.

Gra z konwencjami i oczekiwaniami widza rozpoczyna się od pierwszych minut spektaklu. Wykład o muzyce – zaczynający się od znamiennego zdania: „W sztuce poszukujemy wartości stałych, a jednocześnie skazani jesteśmy na jej obserwację jedynie w czasie jej rozwoju” – nie zdążywszy na dobrze się zacząć, nagle zostaje przerwany. Zamiast typowych belferskich intonacji znawcy i straż-

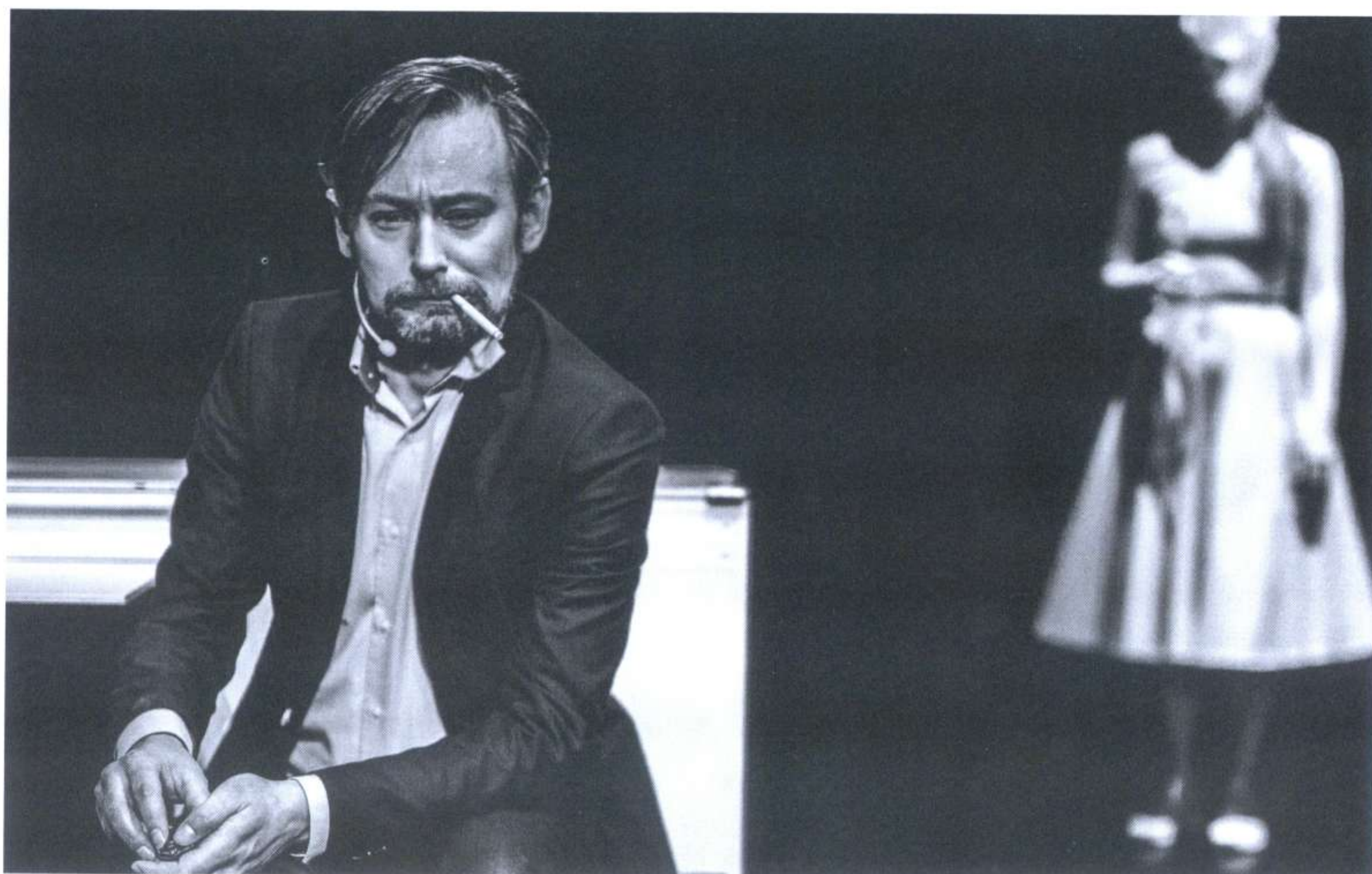
TEATR IM. JERZEGO
SZANIAWSKIEGO
W WAŁBRZYCHU

Raj Eskimosów
Bogusława Schaeffera

reżyseria, muzyka
Weronika Krówka
światła, wideo
Dawid Kozłowski

premiera
29 grudnia 2020

Rafał Kosowski



fol. Tobiasz Papuczyński / Teatr im. Jerzego Szaniawskiego w Wałbrzychu

nika tematu, słyszymy głośnie, zupełnie nieprzystające do sytuacji, żarłoczne mlaskanie. Profesor, zniknąwszy pod blatem stołu, wynurza się spod niego z ustami wprost zapchanymi słodyczami. Zupełnie montypythonowsko się robi, kiedy stacjonarny telefon, zamiast dzwonkiem, odezwie się końskim rżeniem, a nasz lektor, chwyciwszy w rozdrażnieniu słuchawkę, raptem przedstawi się jako ksiądz. Następnym razem będzie przekonywał, że tu są sami „numizmatycy”, czemu wcale nie należy się dziwić, bowiem to zawód jak każdy inny. I my się nie dziwimy. Chyba że lekkości, z jaką poszczególne wątki nakładają się na siebie nawzajem, a etiudy przechodzą jedna w drugą, chociaż najzupełniej nic nie wydaje się ich łączyć. Wystarczy, że – jak podaje autor w didaskaliach – nasz bohater postanowi „niefrasobliwie zmienić temat”.

Cóż, ukończona w 1964 roku sztuka, jak i wszystko, jest dzieckiem swych czasów. W tym wypadku burzliwych eksperymentów formalnych lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Można ją oskarżyć o przeintelektualizowanie

temu niełatwemu zadaniu. To aktor bardzo charyzmatyczny, o uśmiechających się oczach i delikatnej barwie głosu. Akurat do grania bohaterów, z którymi, jak z Kanarkiem, sympatyzuje autor. Jak też do grania marzycieli i wiecznych chłopców obdarzonych wielką wrażliwością moralną, dzięki czemu służy kompasem dla tych, którzy chcą go słuchać i potrafią usłyszeć. Kosowski, co ważne, łączy to wszystko z wybitnym talentem do szarży, (auto)ironii i lekkiej zgrywy. Nigdy jednak przesadnej i obraźliwej. Komu, jeśli nie jemu, szukać „ziarenka zrozumienia”, wczuwać się w losy melancholijnego filozofa, poety-paranoika, któremu wydaje się, że jacyś „inni” uczą się jego wierszy, jeszcze zanim je napisze?

Wspaniale partneruje mu w tym na scenie reżyserka spektaklu Weronika Krówka. Wybitna i nagradzana pianistka jest poniekąd personifikacją samej muzyki, której nie zabraknie w spektaklu. Usłyszymy grane na żywo utwory samego Schaeffera, jak również fragmenty z Siergieja Rachmaninowa czy *Rêverie* Claude’a Debussy’ego. Dopiero jako para sta-

będzie próbował, dzięki podłączonej do niego i zwieszanej u góry lampce, oświetlić scenę. Z marnym, bo chwilowym, skutkiem. Trudno, żeby było inaczej. Bo świat *Raju Eskimosów* to świat zachowujący jedynie pozory normalności i regularności. Rzeczy, wydawałoby się proste i banalne, chcą wymknąć się spod kontroli. Odmawiają pełnienia wyznaczonych dla nich funkcji. Butelka wina okazuje się być podajnikiem na papierosy. Jedna z wyciągniętych do przodu szuflad staje się nocnikiem z łamańca językowego o „pełnomocniku pełnomocnika”. Nawet elegancka ciemnoniebieska marynarka profesora zapina się na dwa różne guziki, zielony i pomarańczowy. Sam stół, zanim się stołem stanie, przypomina wielką białą skrzynię, z której, podnosząc jej przednie wieko, wyczołga się profesor Kanarek. Na czworakach. W podobny sposób, tworząc wyraźną ramę dla przedstawienia, zniknie pod sam koniec. Jak gdyby przed nami otworzono muzyczną szkatułkę, która ukończywszy grać swoją melodię, sama się posłusznie zamknęła. Do następnego razu.

„Wiemy, jak to zrobić!” – taką nazwę kierownictwo Teatru im. Jerzego Szaniawskiego nadało swemu pięćdziesiątemu siódmemu sezonowi. Brzmi ambitnie, szczególnie jak na te bardzo trudne, oduczające nas wszelkich pewności, czasy. Niemniej jednak pomysł na rok teatralny składający się z samych monodramów i małych form wydaje się w pełni sprawdzać. W każdym razie trudno w tej chwili o sensowniejszą ofertę teatralną na Dolnym Śląsku. Co ciekawe, wśród licznych premier (a ma ich być siedemnaście, przygotowanych przez każdego z członków zespołu) znalazły się inne nietypowe eksperymenty z formą wykładu. W *Kumulacji* Mateusz Flis wygłasza swe przemówienie w przestronnym Auditorium Novum Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Angelusa Silesiusa. Jego doktor Jakub Szelestowski wtajemnicza nas w zawiłości wykrytego przez siebie, niebywale perfidnego spisku i puszcza w międzyczasie piosenkę *Twist in my Sobriety* Tinity Tikaram. Mimo wszystko sam, jako bohater, pozostaje znacznie ciekawszy od głoszonych przez siebie rewelacji. Jak widać Schaeffer miał rację – „jak w szkole, tak i w życiu bardziej podziwiamy dziurę w skarpetce łacinnika niż jego wspaniałą erudycję”. Jednak teatr to nie szkoła. I nie życie. Tu akurat takich rzeczy nie należy się wstydzić. Więcej, wypadłoby je celebrować. Niejedno przecież przez takie „dziury w skarpetkach” da się zobaczyć. Na przykład raj rdzennych ludów Alaski i Syberii. ■

Świat *Raju Eskimosów* to świat zachowujący jedynie pozory normalności i regularności. Rzeczy, wydawałoby się proste i banalne, chcą wymknąć się spod kontroli. Odmawiają pełnienia wyznaczonych dla nich funkcji.

i popisy erudycyjne (kto w naszych czasach czyta Lessinga?), a nawet pretensjonalność. Trudno jednak dowieść, że w ciągu tych lat znacząco straciła na swej aktualności i atrakcyjności. Wciąż kusi próbą wyłuskania jej tajemnicy. Wciąż, będąc partyturą do wypełnienia, stanowi poważne wyzwanie aktorskie. Stwarzając możliwości do popisów i inwencji interpretacyjnej, wymaga jednocześnie pełnego skupienia i zaangażowania. Jak też zwykłego trafienia obsadowego. *Scenariusz dla nieistniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego* Schaeffer pisał z myślą o Janie Peszku. Chociaż na prapremierę należało poczekać kilka dobrych lat, sławny aktor w końcu stał się twarzą i ambasadorem tej osobliwej dramaturgii. I nadal nim jest. Stąd jego obecność w materiałach promocyjnych spektaklu, w którym sam nie gra, ale któremu, siłą rzeczy, patronuje.

Musimy więc, żeby seans w pełni się udał, uwierzyć w profesora Kanarka. Nawet jeżeli on sam w siebie i sam sobie wierzy nie do końca albo wcale. Rafał Kosowski dostojnie sprostął

ją się odwiecznymi On i Ona. Yin i Yang. Artystą i jego muzą, odgrywającymi przed sobą kolejne swoje wcielenia, kolejne wariacje na temat. A tematem tym – zdaniem profesora „obiegowym, oklepanym, opisanym, przebadanym, prześwieconym, zużyтым, niemodnym, martwym” – rzecz jasna, miłość. Uczucie, o którym, jak dowodzi przedstawienie, mówimy, uciekając się najczęściej do wypróbowanych konwencji. Od powieści miłosnych po ckliwe telenowe.

Scenografia w spektaklu jest prosta, minimalistyczna, lecz, jak się okaże w trakcie, dość pomysłowa i wielofunkcyjna. Odkrywamy ją krok za krokiem. W pierwszej części spektaklu światło wyłania z ciemności sam tylko stół i siedzącego za nim Kanarka. Dopiero potem zauważamy stojące po lewej pianino z „obnażoną” maszyną strun, młotków i tłumików oraz ustawione z tyłu, jeden na drugim, wielkie sześciiany z dykty. Posłużą jako ekran do puszczenia nań nagrań. W jednej z późniejszych scen Kanarek usiądzie na zamontowany w głębi scenicznego pudełka rower. Pedalując,